

WYWIAD

Napisał: Zbigniew Pietrzykowski

Ilustrował: Przemysław Woźniak

Stał na moście i patrzył na płynącą w dole rzekę. Słońce padało z ukosa na granatowo-zielone fale i odbijało się w nich jak w krzywym zwierciadle. Wsunął dłoń do kieszeni. Kiedy palce namacały banknot zwinięty w kulkę, uśmiechnął się. Był bogaty; mógł wrócić do miasta, wejść do pierwszego napotkanego baru i zamówić soczysty befsztyk. Kiedy o tym pomyślał, poczuł głód. Oderwał wzrok od rzeki, spojrzął na błyszczącą w słońcu balustradę i ruszył wolno w stronę rysujących się na horyzoncie zabudowań. Szedł ze zwieszoną głową, patrząc na czerń asfaltu. Myślał...

Od chwili, kiedy utracił licencję pilota kosmicznego, upłynął miesiąc. Samotność w tłumie jest dotkliwsza niż samotność w pustce kosmicznej; przekonał się o tym, przemierzając wolnym krokiem szerokie ulice miasta, po których snuli się jak zjawy przechodnie. Kiedy dotarł do pierwszych zabudowań, rozejrzał się wkoło uważnie, ale nic nie przykuwało jego uwagi. Pierwszy napotkany przezeń przechodzień pojawił się w polu widzenia i znikł. Ale w miarę, jak zbliżał się do śródmieścia, tłum na ulicach gęstniał. Zatrzymał się przed kolorową tablicą z ogłoszeniami i zaczął je skrupulatnie studiować: „Poszukuje się sprzedawcy lodów”, „Wynajmę na trzy dni bagażówkę powietrzną...”, „Sprzedam karnet wolnego wstępu na wyścigi konne...” Kiedy spojrzął na bar-

wny plakat, wstrzymał oddech: „Ośrodek podróży w czasie organizuje kurs dla kandydatów na pilotów grawitotów czasoprzestrzennych. Warunki przyjęcia...” Zamyślił się.

Nigdy nie interesował się podróżami w czasie; uważał je za wymysł autorów sensacyjnych powieści. Wiele lat spędził w pojemniku hibernacyjnym z dala od Układu Słonecznego. Kiedy wrócił, świat wydał mu się odmieniony. Z trudem przystosował się do nowych warunków. Każdy dzień oddalał go od chwili, które spędzał w ciasnej kabinie. Przywykł do samotności. Życie wśród ludzi było mu udręką. Przechodnie snuli się w zasięgu wyciągniętej dłoni, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi. Był rozbitkiem na wyspie cieni. „Podróże w czasie...” – pomyślał. A potem przeczytał adres i ruszył we wskazanym kierunku. Budynek, przed którym się zatrzymał, przywodził na myśl starogreckie budowle. Z bijącym sercem przekroczył próg i znalazł się w obszernym holu.

– Pan do kogo? – usłyszał za plecami czyjś głos. Obrócił się. Przed nim stał portier, ubrany w obcisłą kamizelkę.

– Przeczytałem ogłoszenie... – rzekł niepewnym głosem.

– Aha. Rozumiem... Zgłosi się pan do pokoju czterdzieści trzy.

W oczach portiera dostrzegł błysk zainteresowania, ale trwało to krótko. Znow jego oczy przybrały beznamiętny, urzędowy wyraz. Ruszył szerokim kory-

tarzem po miękkiej jak puch wykładzinie i lustrował mijane drzwi. Kiedy dotarł do celu, zatrzymał się i spojrzał na prostokątną tabliczkę: „Ośrodek Szkolenia Kandydatów Na Pilotów Grawitolotów Czasoprzestrzennych”.

Zapukał. Drzwi rozsunęły się bezgłośnie, ukazując niewielki gabinet, w którym za masywnym biurkiem siedział starszy, szpakowaty mężczyzna. Wszedł do środka i zatrzymał się na środku pokoju.

– Nazywam się Alex Nor – powiedział niemal szeptem, starając się zachować poważny wyraz twarzy.

– Pan do mnie? – zapytał urzędnik, wskazując dłonią owalny fotel. Nor skinął głową i usiadł.

– Czytałem, że szukacie kandydatów na pilotów... – zaczął niepewnym głosem i urwał. Mężczyzna siedzący za biurkiem skinął głową i przez chwilę przyglądał się Norowi ze zdwojoną uwagą.

– To niebezpieczna praca – rzekł po chwili.

– Bywałem w gorszych opałach – powiedział Nor.

– Naprawdę? – zdziwił się urzędnik i zapytał: – Czym pan zajmował się dotychczas?

Nor był pewien, że urzędnik zada mu to pytanie, odpowiedział więc szybko:

– Pilotowałem statki kosmiczne w czterdziestym szóstym sektorze nieba.

– Naprawdę? – powtórzył urzędnik i znów obrzucił Nora uważnym spojrzeniem.

Alex skinął głową.

– Szukamy ludzi zahartowanych w boju. Prowadzenie grawitolotów jest trudniejsze niż pilotowanie statków kosmicznych – powiedział urzędnik.

– Nie boję się trudności – odpowiedział Nor.

– Rozumiem – rzekł urzędnik i zapytał: – Dlaczego przestał pan latać?

Alex uśmiechnął się nieporadnie.

– Cofnięto mi licencję.

– Dlaczego?

– Uszkodziłem raketę przy lądowaniu.

– Rozumiem – powtórzył urzędnik i przez chwilę patrzył na blat biurka. A potem otworzył szufladę, wyjął kwestionariusz i podał go Norowi.

– Proszę to wypełnić.

Nor spojrzał pytająco na urzędnika.

– Teraz? Zaraz?

– Tak.

Sięgnął po długopis i zaczął wpisywać do rubryk odpowiednie dane. Kiedy skończył, podał kwestionariusz urzędnikowi i powiedział:

– Nie było mnie tutaj pięćdziesiąt lat. Sporo się zmieniło. W pojemnikach hibernacyjnych czas nie płynie. Jestem więc człowiekiem starej daty. Nie wiem nic o współczesnym świecie. Chętnie wróciłbym do przeszłości.

Urzędnik spojrzał na Nora pytająco i powiedział:

– Ośrodek Szkolenia Kandydatów na Pilotów Grawitolotów Czasoprzestrzennych nie ma baz w czasie. Prowadzimy badania czasoprzestrzeni w grawitolotach nie wychodząc z nich.

– Szkoda – westchnął Nor i dodał: – Mogę podjąć zajęcia na kursie od zaraz.

Urzędnik milczał przez chwilę, wpatrując się w kwestionariusz leżący na biurku, a potem rzekł:

– Dobrze. Dam panu skierowanie.

Kiedy Nor znalazł się na ulicy, świat wydał mu się odmieniony. Znów był kimś. Spojrzał lekceważącym wzrokiem na snujących się bez celu przechodniów i wszedł do baru. Befszytk był podły, ale Nor zjadł go ze smakiem. Potem zamówił butelkę coca-coli i starannie przeliczył resztę, którą otrzymał. Znów znalazł się na ulicy. Kroczył bez celu, przyglądając się kolorowym omnibusom, sunącym nad jezdnią na pneumatycznych poduszkach. Kiedy doszedł do przestrzennego placu, dostrzegł monumentalną rzeźbę, przedstawiającą kosmo-

nautę stojącego przy otwartym włązie rakiety. Zamyślił się. Dla przeciętnych ludzi był bohaterem, zdobywcą kosmosu, podróżnikiem owianym mgłą tajemnicy. Sięgnął do kieszeni i wyjął druk skierowania na kurs, a potem przeciął na skos jezdnię i zatrzymał się na przystanku.

W ośrodku szkolenia przyjęto go chłodno. Kandydatów do lotów czasoprzestrzennych było sporo; siedzieli w wielkiej sali i rozmawiali o niczym. Był wśród nich obcym człowiekiem, przybyszem z dalekiej przeszłości, o której nikt już nie pamiętał.

Po kwadransie wezwano go do kierownika ośrodka.

– Szukamy ludzi odważnych – powiedział kierownik, przyglądając się uważnie Norowi.

Nor uśmiechnął się.

– Codziennie ryzykowałem życiem.

Kierownik wzruszył ramionami.

– Każdy – powiedział – kto tutaj przychodzi, udaje bohatera.

Nor znów uśmiechnął się.

– Pilotowałem statki kosmiczne dalekiego zasięgu.

– Naprawdę?

– Tak.

– Proszę pokazać licencję.

– Cofnięto mi ją.

– Ile pan ma lat?

Nor zamyślił się.

– Fizjologicznych czterdzieści, ziemskich dziewięćdziesiąt.

– Co pan wie o współczesnym świecie?

– Nic – odparł Nor i rozłożył bezradnie ręce.

Kierownik uśmiechnął się.

– Cieszę się, że przyszedł pan do nas.

Współczesny świat jest złożony. Rozwiązaliśmy sporo problemów...

Umilkł na moment, a po chwili dodał:

– Ale przybyło nowych... istne błędne koło.

A potem poklepał Nora po ramieniu i powiedział:

– Przyjmuję pana.

Ośrodek Szkolenia Kandydatów Na Pilotów Grawitolotów Czasoprzestrzennych mieścił się w zabytkowej budowlu pełnej krużganków i zdobionych bram. Nor obszedł ją dwukrotnie, przyglądając się masywnym murom i pięknym, secesyjnym oknom. Kiedy wszedł do środka, odniósł wrażenie, że wniknął do średniowiecznego zamczyska. Kamienne schody wiodły na piętro, gdzie mieściła się olbrzymia aula, przywodząca na myśl amfiteatr, strop był bowiem cały ze szkła. Nigdzie jednak nie spotrządził nic współczesnego: skomplikowanej techniki, tajemniczych urządzeń, ekranów, monitorów... Po kwadransie wrócił do miejsca, skąd rozpoczął wędrówkę i zawiedziony, usiadł na skrzypiącej ławie, mając przed sobą na ścianie obraz przedstawiający myśliwego w otoczeniu sfory brytanów.

„Podróże w czasie” – pomyślał i wzruszył ramionami. W miarę jak czas płynął, hol zapełniał się kursantami; gwar potęgował się. Nor omiół wzrokiem siedzących i odczuł swoją samotność bardziej niż kiedy indziej. Zapragnął wyrwać się z tego kręgu ludzi mu obcych, ale nie bardzo wiedział, dokąd pójść. Po chwili zjawił się profesor.

– Nazywam się Egberg – powiedział, otwierając drzwi sali.

Weszli do środka. Nie opodal zwykłej, masywnej katedry stał stalowy kocioł, połączony gąszczem kolorowych przewodów z tablicą rozdzielczą. Nor obrzucił go uważnym spojrzeniem i dostrzegł uchylony właz. Egberg zbliżył się do kotła i dotknął go dłonią.

– To wehikuł czasu – rzekł przyglądając się zebranym. A potem dodał:

– Podróże w czasie są bardzo skomplikowane. Wniknąć do ściśle określonej epoki jest łatwo, ale wrócić do niej we właściwym momencie już trudniej. Tablice, przeliczniki, analizy zmian pola czasowego...

Urwał i znów przyjrzał się zebranym.

ZNÓW WYSZEDŁ Z KOTŁA
I OBSZEDŁ GO WKOŁO, A POŁEM
SPOJRZAŁ NA WISZĄCY NAD
HORYZONTEM OBŁOK I RUSZYŁ
W JEGO KIERUNKU



Po chwili dodał:

– Piloci grawitolotów czasoprzestrzennych utrzymują stałą łączność z bazą. W każdej chwili można przerwać eksperyment. Kiedy poznacie właściwości pola czasowego, zrozumiecie, jak ważnym czynnikiem jest umiejętność analizowania go w każdej rzeczywistości. Doświadczony pilot steruje kotłem nie zaglądając do tablic czasoprzestrzennych, ale tej trudnej sztuki trzeba się pierwszej nauczyć.

Od owego pamiętnego wykładu upłynął tydzień, zanim Nor po raz pierwszy wszedł do kotła. Wnętrze przywodziło na myśl kabinę statku kosmicznego. Kiedy zatrząsnęto właz, odkręcił kurek z tlenem i spojrzął na migocący kolorowymi lampami pulpit sterowniczy. Potem przeniósł wzrok na zegar kontrolny. Wskazówka balansowała w pobliżu zera. Położył dłonie na pulpicie i wcisnął kilka przycisków. Czerwona podziałka przesunęła się w prawo i zatrzymała się w pozycji wyjściowej.

– Startujesz w przeszłość – usłyszał z głośnika głos profesora Egberga.

Objął dłońmi koło startera i przekręcił go wolno w lewo. Światło w kabinie przygasło. Odczuł niewielki wstrząs. Za chwilę ruszy. Czekał na ten moment z bijącym sercem. Znow był kimś. Omiótł wzrokiem pomieszczenie – podziałka grawitoskopu wychyliła się w lewo i zaczęła wolno sunąć po tarczy. W okrągłym iluminatorze pojawiały się raz po raz błyszczące pasy. Przecinał stulecia jak meteor atmosferę. Zatrzymał koło startera, ale pojazd mknął nadal przez czas.

– Halo, baza! Halo, baza! – rzekł drżącym głosem do mikrofonu. W głośniku rozległy się przytłumione trzaski. Powtórzył wezwanie, ale nikt nie zgłosił się. Przekręcił koło w prawo. Kocioł zatrzymał się i znieruchomiał. Nor spojrzął w iluminator. To, co zobaczył, wprawiło go w zdumienie. Przed nim rozciągało się morze piasku, falujące

wydmy wypełniały przestrzeń po horyzont.

– Halo, baza!

Znow cisza. Spojrzął na podziałkę grawitoskopu – był w siedemnastym wieku. Omiótł wzrokiem tablicę analiz pola czasowego i precyzyjnie ustawił podziałkę grawitoskopu w punkcie wyjściowym; potem objął dłońmi koło startera i przekręcił go ostrożnie w prawo. Pojazd ani drgnął. Raz jeszcze powtórzył ten sam manewr, ale znow bez rezultatu.

– Halo, baza! Halo, baza!

Ale głośnik milczał jak zakłęty.

„Utknąłem w piasku!” – pomyślał.

Podszedł do włazu, zwolnił blokadę i otworzył metalowe drzwi.

Do kabiny wdarło się gorące powietrze. Wszedł na zewnątrz i obrzucił wzrokiem kocioł. Pojazd tkwił nieruchomo wbity w piasek. – No, tak! – powiedział do siebie. Przyłożył dłonie do kotła i pchnął go mocno, ale kocioł ani drgnął; zdeformowane amortyzatory szczęknęły głucho. Rozejrzał się wkoło. Faliste wydmy wypełniały przestrzeń. Był na pustyni. Nigdy dotychczas nie zetknął się z tak przynębiającą pustką; wzrok szukał jakiegoś oparcia i nie znajdował go. Ponad piaskiem falowało powietrze, rozgrzane silnymi promieniami słońca. Niebo było czyste, niemal granatowe... Gdzieś w dali, nad kreską horyzontu wisiał niewielki, biały obłok.

„Oaza!” – przemknęło mu przez myśl. Wszedł do kotła. Absolwenci kursu dla kandydatów na pilotów grawitolotów czasoprzestrzennych odbywali krótkie rekonesansowe rejsy; wnikali do ściśle określonej rzeczywistości w czasie i wracali niemal natychmiast. Ich kotłów nie zaopatrywano w prowiant.

– Halo, baza! Halo, baza! – rzekł do mikrofonu.

Zmienił częstotliwość nadawania, ale głośnik nadal milczał.

Gdyby wylądował w pobliżu siedemnastowiecznego miasta, miałby szansę na przetrwanie, lecz tutaj, na pustyni, mógł liczyć wyłącznie na siebie. W pustce kosmicznej czuł się pewnie. Przywykł do czerni nieba i ogników gwiazd. Mógł skierować uszkodzony statek w stronę Ziemi, włączyć sygnał wywoławczy i wejść do pojemnika hibernacyjnego. Tam miał szansę na przetrwanie, tutaj natomiast nie. Znow wyszedł z kotła i obszedł go wkoło, a potem spojrzął na wiszący nad horyzontem obłok i ruszył w jego kierunku. Szedł z trudem, grzęznąc w sypkim piasku wydmy. Słońce chyliło się ku zachodowi; ostre jak lancety promienie traciły z wolna swą moc. Postanowił dotrzeć do najwyższej z wydmy i spojrzeć z jej szczytu na pustynny krajobraz. Miał nadzieję, że coś dojrzy, że monotony krajobraz odsłoni przed nim oazę, w której będzie mógł napić się wody, ale nic takiego się nie stało. Za wydumą falowało w podmuchach wiatru dalej bezkresne morze piasku. Czerwona tarcza słoneczna wolno spłynęła za horyzont. Mrok zapadł niemal natychmiast; powietrze ochłodziło się. Postanowił wrócić do kotła, ale kiedy obrócił się, nie dostrzegł jego konturów. Serce zabiło mu mocniej. W miarę, jak czas płynął, przenikliwy chłód stawał się nie do zniesienia. Brnąc w piasku ruszył po własnych śladach, ale kotła nie znalazł. Usiadł na piasku i podciągnął nogi pod brodę. Ponad czarnymi jak smoła wydmy mrugały gwiazdy. Od strony zachodniej powiał wiatr, gorący piasek ostygł i stał się mniej sypki.

– Zamarznę! – pomyślał Nor i szczerze zapiął kombinezon.

Noc trwała wieki. Raz po raz zapadał w krótką drzemkę, której żadną miarą nie można było nazwać snem. Budził się zziębnięty, zrezygnowany i zły. Nigdy dotychczas nie miewał tak koszmarnych snów. Kiedy otwierał oczy, odnosił wra-

żenie, że ktoś czyha na niego w pobliżu. Dzień zastał go drepczącego w miejscu. Słońce wypłynęło zza horyzontu i noc w jednej chwili zmieniła się w purpurowy poranek. Ruszył wolno przez wydmy w stronę wschodzącego słońca. Na ziarnkach piasku perliła się rosa. Szedł bez celu, bez wiary i nadziei, że dotrze dokądkolwiek. Raz po raz nogi grzęzły mu w piasku, potykał się, padał, wstawał i, zrezygnowany, podejmował dalszą marszrutę. W miarę, jak słońce wznosiło się coraz wyżej, upał stawał się nie do zniesienia. Z trudem wdychał gorące, bezwonne powietrze, z trudem powłóczył nogami, z trudem przełykał ślinę przez zaschnięte gardło... Zza morza piasku wylańiało się inne piaszczyste morze; nie widział nic prócz falujących wydmy. Około południa legł na piasku, a potem zaczął się czołgać, mając nadzieję, że dotrze wreszcie do jakiejś oazy. I naraz coś zagroziło mu drogę...

Wyciągnął dłoń: z piasku wystawała szklana tafla. Postanowił ją ominąć. A potem – zdenerwowany – walnął ją wściekle pięścią. Szkło rozsypało się na kawałki. W powstałym otworze ukazała się wypełniona ludźmi aula. Omiótł wzrokiem szklaną klatkę.

– To tak! – krzyknął do obserwujących go ludzi. A potem wyszedł z klatki i stanął na scenie.

– Holografia! Złudzenia! Zabawa w ciuciubabkę! Nie macie prawa! Słyszycie!

W jednej chwili pojął – bawiono się jego kosztem.

– No, śmieście się! – krzyknął. – Jestem tu po to, abyście się śmiali!

Kiedy umilkł, dostrzegł przed sobą masywną postać profesora Egberga.

– Obserwowaliśmy wszystkie pana reakcje.

Znow zaczął krzyczeć, ale audytorium już go nie słuchało. Zebrani wstali i ruszyli do wyjścia.